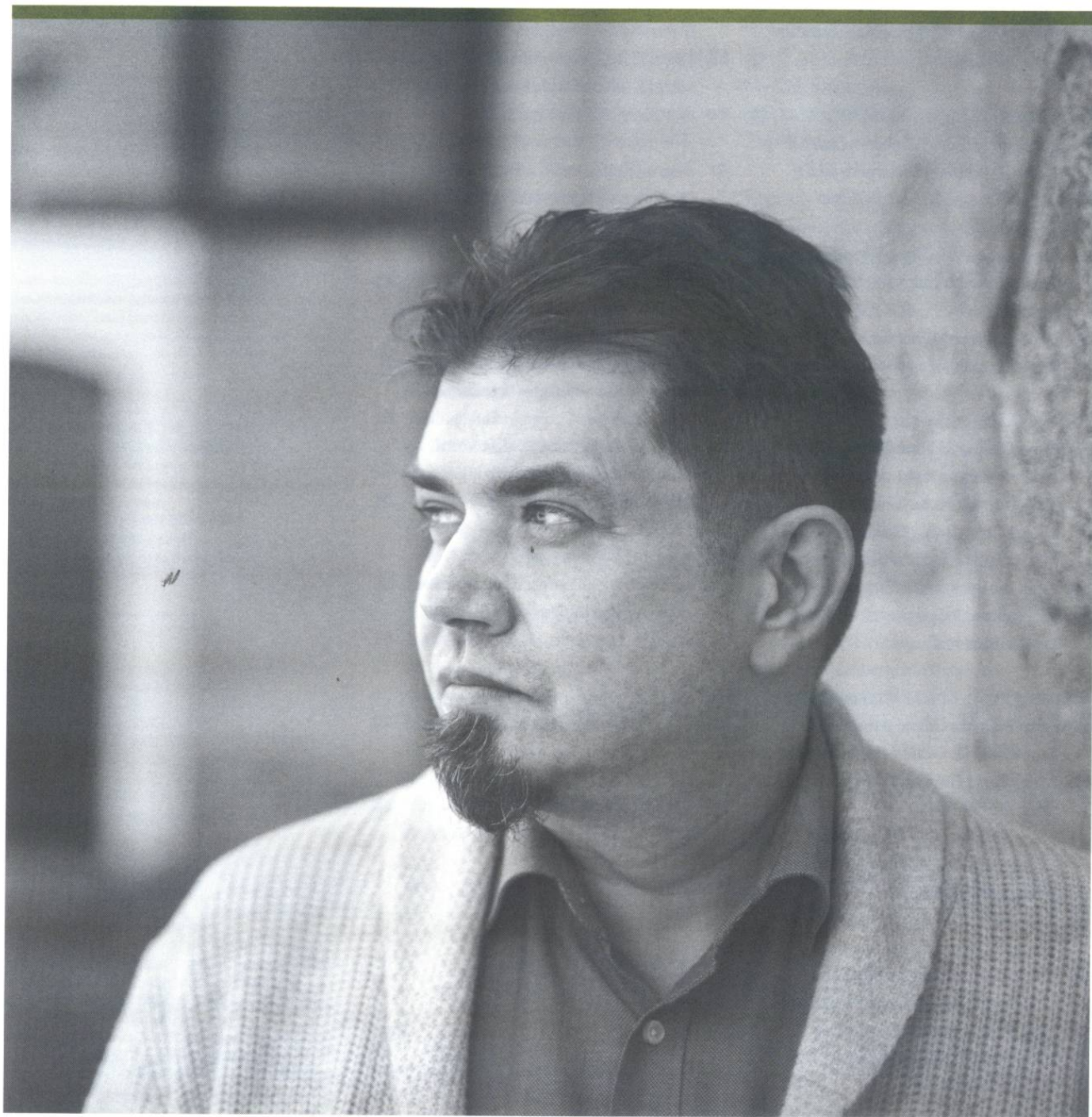


Śpiew w ciemności

Z Wojciechem Wenclem rozmawia Szymon Babuchowski



Niedawno nakładem Instytutu Literatury ukazała się twoja książka *Lechoń. Rycerz i faun. Po biografii Kazimierza Wierzyńskiego zająłeś się zatem kolejnym skamandrytą. Czy ten czas, w którym obaj poeci żyli i tworzyli, jest ci w historii literatury jakoś szczególnie bliski, inspirujący?*

W historii literatury – w sensie pokoleń, grup poetyckich, programów – niekoniecznie, bo takie postrzeganie jest typowe dla awangardy. Dla mnie dawne wiersze, podobnie jak nowe, tworzą – jak to ujął Jarosław Marek Rymkiewicz – „jedno wielkie morze języka poetyckiego poza czasem”. Taka perspektywa umożliwia nie tylko dialog między poetami różnych epok, ale i poczucie ich istnienia tu i teraz, obok nas. Natomiast historycznie okres, w którym żyli Lechoń i Wierzyński, jest bardzo istotny dla Polski. To czas odzyskania niepodległości, II Rzeczypospolitej, drugiej wojny światowej i komunistycznego zniewolenia, które oni oglądali zza oceanu, współtworząc emigracyjny nurt „niezłomnych”. Trzeba też pamiętać, że obaj urodzili się w ostatniej dekadzie XIX wieku, co pozwala dostrzec genezę późniejszej kultury polskiej. Sam początek XX wieku, gdy byli dziećmi, jest okresem niezwykle ciekawym. Studiując go, można analizować kluczowe dla Polski procesy społeczne, polityczne, przeobrażanie się mitów narodowych. Pisząc biografię Wierzyńskiego, którego przodkowie byli Niemcami, poświęciłem wiele miejsca roli rodzin napływowych w kształtowaniu polskości. Z kolei w książce o Lechońu starałem się pokazać wpływ romantyzmu na Józefa Piłsudskiego i kulturę międzywojnia. Nie chodzi tu o powierzchowny „kult wieszczów”. Mam na myśli „romantyzm walczący”, budzący z letargu do czynu, reprezentowany przez Maurycego Mochnackiego, a potem owocuujący surową oceną Polaków w dramatach Wyspiańskiego.

W pewnym stopniu biografie obu poetów idą podobnym torem: wspólny start w świecie literatury, bliskie relacje z międzywojenną elitą, potem los emigracyjnego poety, zbieżność poglądów na wiele spraw. Czy to wszystko przełożyło się na wspólnotę wrażliwości? A może na tym lista podobieństw się kończy?

Obaj – Wierzyński i Lechoń – byli piłsudczykami, w II RP mieli wielu przyjaciół w kręgach władzy, później w emigracyjnych środowiskach piłsudczykowskich, co miało wpływ na formułowaną przez nich surową ocenę polityki gen. Władysława Sikorskiego. Przede wszystkim jednak byli gorącymi patriotami, stąd ich tożsame reakcje na wydarzenia wojenne, Teheran, Jaltę i sowietyzację Polski. Obaj – w odróżnieniu od środowiska paryskiej „Kultury” – nigdy nie wyrzekli się Wilna i Lwowa. Natomiast osobowościowo byli bardzo różni. Wierzyński, nastawiony raczej koncyliacyjnie, stosował ostrą retorykę, ewidentnie pod wpływem młodszych kolegów. Nie chodzi o poglądy polityczne, bo te mieli wspólne, ale o sposób ich wyrażania. Natomiast Lechoń był Rejtanem emigracji – bezwzględny oskarżyciel, trochę prowokatorem, ale w słusznej sprawie. Emigracyjni lawiranci, po cichu zachodzący do komunistycznej ambasady i planujący powrót do kraju, nienawidzili go albo się go bali.

Czy w życiu prywatnym bardzo się różnili?

Obaj byli towarzyscy, ale Wierzyński – dystyngowany pan spod Lwowa, dwukrotnie żonaty – w gruncie rzeczy dążył do stabilizacji. Urodzony na stacji kolejowej w Drohobycz, został zmuszony do koczowniczego trybu życia. Radził sobie z tym doskonale dzięki wrodzonej ciekawości świata i ludzi, ale też dzięki umiejętności porządkowania spraw. Stale narzucał sobie dyscyplinę, był sumien-ny, odpowiedzialny, rzetelny. Miał też cechę, którą ktoś niezbyt

życzliwy określił terminem „Pen-clubizm”. Świetnie czuł się na oficjalnych literackich uroczystościach, oprócz porywających, emocjonalnych mów (zwłaszcza pogrzebowych) potrafił składać okrągłe zdania o demokracji, prawach człowieka czy powinnościach pisarza. Lechoń – wolny strzelec i kryptohomoseksualista – rzucał się w wir kabaretów, kawiarni i artystycznych salonów. Pławił się w blichtrze tego świata, tryskając poczuciem humoru, plotkując, wygłupiając się. Dopiero nad ranem w pustych mieszkaniach płakał, dręczony psychastenią. Jego życie było chaosem, a ludzi traktował jak marionetki. Zmieniło się to dopiero w latach pięćdziesiątych, gdy zaczął praktykować wiarę.

Różnił ich też chyba stosunek do poezji?

Tak, Wierzyński był tytanem „pracy twórczej”, pisanie traktował jako świadectwo życia, interesował się poetyckimi „nowinkami” i marzył o formalnej ewolucji swoich wierszy. Lechoń miał wieloletnie okresy niemocy, zwalczał ideę „postępu w sztuce”, do śmierci pisał po skamandrycku i nie śledził bieżącej produkcji literackiej. Dialogował z Mickiewiczem, Słowackim, Wyspiańskim. Zamiast poszukiwać „współczesnej formy”, sięgał do źródeł literackiej polszczyzny.

Bardzo dokładnie przedstawiasz, zwłaszcza w książce o Wierzyńskim, tło epoki. Na ile jest to ważne dla rozumienia poety i poezji?

Myślę, że tło historyczne ma fundamentalne znaczenie. Osadza poetę w kontekście kulturowym, społecznym, politycznym. Uświadamia, że jego twórczość budowała konkretną wspólnotę wartości. Pozwala odkryć ciągłość idei bądź jej przerwanie przez wojnę czy cenzurę. Wtedy pojawiają się pytania: czy ta idea, brutalnie przetrwana przez obcą siłę, ma dla nas sens?, czy godząc się z jej przetrwaniem, nie odbieramy sobie istotnej części polskości? Warto próbować zrozumieć poetę i poezję, ale dla mnie jeszcze ważniejsza jest rekonstrukcja – ujmę to górnolotnie – „kultury duchowej narodu”, którą Niemcy i Sowietzi wycięli razem z naszymi elitami.

Czy Wierzyński i Lechoń byli typowymi „dziećmi swoich czasów”?

Tak. Wprawdzie Lechoń konsekwentnie patrzył w przeszłość, ale głównie po to, by znaleźć tam odpowiedź na wyzwania współczesności. Szukał życia, nie „poezji grobów”. Z kolei Wierzyński długo pozostawał „dzieckiem”, świętując odzyskanie niepodległości w duchu *Wiosny i wina*. Dopiero jako autor *Wolności tragicznej* stał się poetą dojrzałym. Obaj – jeden wcześniej, drugi później – wsłuchali się w głos „polskiej duszy”. Rozumieli procesy niewidzialne gołym okiem, a korzeniami sięgające XIX wieku. Dlatego niejednokrotnie potrafili uchwycić istotę zmian, a nawet trafnie antycypować wydarzenia historyczne. Dość wspomnieć *Karmazynowy poemat* Lechonia albo takie utwory Wierzyńskiego jak *Wstążka z „Warszawianki”* czy *Via Appia*. Obaj byli wizjonerami, może nawet wieszczami narodowymi, choć zdają sobie sprawę z anachronizmu tego określenia. Wspaniałe, zrodzone w ogniu utwory Krzysztofa Kamila Baczyńskiego czy Tadeusza Gajcego są niezrównane na poziomie egzystencjalnym, ale żeby objąć całość wojennego doświadczenia Polaków, trzeba sięgnąć po historiozoficzne wiersze Lechonia, Wierzyńskiego, a także Stanisława Balińskiego. Nikt tak jak oni nie ukazał też dramatu emigracji niepodległościowej, w tym żołnierzy, których domy rodzinne znalazły się za linią Curzona.

W jakim stopniu tropy, które zostawił Jan Lechoń w swoich wierszach, okazały się pomocne dla zrozumienia jego postaci? A może są tam też tropy fałszywe, tę postać zaciemniające?

Wbrew popularnym opiniom, wiersze Lechonia są ściśle związane z jego życiem. Odzwierciedlają autentyczne stany emocjonalne, wzruszenia i gniew, poczucie niemocy czy dumy. Oczywiście wszystko to jest ubrane w pewien kostium kulturowy, wyrażone poprzez aluzje, analogie, nawiązania, cytaty. Poeta przez całe życie budował polskie i europejskie uniwersum, wykorzystując mity greckie, symbole, klasykę literatury, pamięć historyczną. Bardzo ważny był dla niego teatr. Rozumiał potrzebę dyscypliny, rymu, rytmu. Kto traktuje tę tradycję jako skamielinę, podsumuje twórczość Lechonia słowem „stylizacja”. Dla mnie jest to kosmos pełen życia. Uniesienia i udręki poety są tym bardziej wstrząsające, że zostały jakby wykute w kamieniu. Poezja Lechonia jest w pewien sposób święta. Spotykamy się w niej z czystością intencji, miłością do piękna i do Polski, prawdą, szlachetnym patosem i czymś, co nazwałbym instynktem tragicznym. Falszywe tropy pojawiają się natomiast w *Dzienniku*, zwłaszcza w wynurzeniach z podtekstem homoseksualnym. Mnóstwo tam zdań niezrozumiałych, sprzecznych ze sobą, kokieterystycznych, dyktowanych pożądaniem, a nie umysłem. Czytając je, miałem wrażenie, że poeta zakłada maskę i wchodzi w ciemność.

Silny związek poezji Lechonia z jego biografią ukazujesz, pisząc chociażby o tomie *Srebrne i czarne*. Wbrew stereotypowym odczytaniom tej książki przez pryzmat konwencji literackich, dowodzisz, że te wiersze wynikają wprost z choroby, na którą cierpiał autor. Wiele jest takich nieporozumień w interpretacji jego twórczości?

Sporo. Na uniwersytetach i w szkołach wciąż cytuje się słynny fragment *Herostratesa*: „A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”, sugerując, że Lechoń był burzycielem tradycji romantycznej, którą miała zastąpić – jak byśmy dziś powiedzieli – „ciepła woda w kranie”. Drugi popularny cytat pochodzi z *Ducha na seansie*: „Księcia Józefa konterfekt szerniały / Na ziemi leży podarty w kawały”. Rzadko towarzyszy temu poważna analiza wierszy, które są znacznie bardziej skomplikowane, niż się wydaje. W istocie bunt poety był dramatycznym gestem w duchu Wyspiańskiego. Miał obudzić Polskę z letargu. Był skierowany przeciwko tym wszystkim, którzy łączyli patriotyczny sentymentalizm z lojalizmem wobec zaborców. Lechoń kochał romantyzm, a portret księcia Józefa wisiał nad jego biurkiem. Chciał jednak czerpać z tej tradycji siłę potrzebną do budowy wolnej Polski. Nie zgadzał się na sprowadzenie jej do poziomu izby pamięci.

Jeszcze więcej nieporozumień dotyczy chyba korzeni rodzinnych poety...

Tak, mówi się, że Lechoń był pochodzenia tatarskiego, żydowskiego, ormiańskiego. Wszystkie te hipotezy są wyssane z palca. Rodzina Serafinowiczów, która w końcu XVIII wieku przybyła ze Żmudzi do Międzyrzecza Podlaskiego, należała do podupadłej szlachty polskiej. Nie ma żadnych dokumentów ani przekazów rodzinnych, które mogłyby świadczyć o bardziej „egzotycznych” korzeniach Leszka Serafinowicza, czyli Jana Lechonia.

Nazywasz Lechonia „najwybitniejszym poetą XX wieku”. To dość śmiałe określenie, zważywszy, że w tym samym wieku XX tworzyli Czesław Miłosz czy Zbigniew Herbert. Czy nie jest to teza trochę na wyrost? Co cię tak fascynuje w twórczości Lechonia?

Jestem poetą, nie historykiem literatury, więc mogę sobie pozwolić na takie hierarchizowanie. Inna sprawa to zupełnie dla mnie niezrozumiały lęk współczesnych badaczy przed wartościowaniem. Boją się nie tylko słowa „wybitny”, ale też słowa „arcydzieło”. Może to skutek obowiązującego przez dekady kultu

romantycznych wieszczów? Nie wiem, ale wydaje mi się, że takie podejście niszczy ciągłość wielkiej poezji i otwiera drogę oddziałom miernych twórców. W poezji nie ma demokracji. Z każdej epoki powinny zostać trzy, cztery nazwiska, a nie listy alfabetyczne wszystkich, którzy próbowali pisać. Ale wracając do meritum: tak, Lechoń jest dla mnie najwybitniejszym polskim poetą XX wieku. Powiem więcej. W perspektywie dwóch ostatnich stuleci stawiam go na drugim miejscu po Mickiewiczu, na równi ze Słowackim. Upraszczając na potrzeby wywiadu: Leśmian jest natchnionym, acz nierównym fantastą, Wierzyński – doskonałym historiozofem, Herbert – genialnym filozofem, ale wszyscy mają jakieś ograniczenia. Lechoń szybuje wśród gwiazd i rozmawia z duchami Orfeusza, Dantego, Mickiewicza. Jest szalony, poddaje się natchnieniu, ale przekształca je w arcydzieła polszczyzny dzięki swojej wybitnej inteligencji. Jego wiersze są jak arrasy tkane z przędzy pochodzącej z różnych epok. Gęste, nasycone kolorami i zapachami, porywają jak malarstwo Jacka Malczewskiego. Są wieczne, istnieją poza czasem. Wyrażają jednocześnie esencję polskości i ducha starej Europy. Uwielbiam jego patos, ironię, wrażliwość dramatyczną i głęboki liryzm.

Dzisiejszym odbiorcom Lechoń może się jednak wydawać poetą mocno archaicznym, z tą jego dostojną, długą frazą, osadzeniem w tradycji romantycznej, w jej rekwizytach. Jak w ogóle czytać tę poezję w epoce esemesów, fast foodów, krzykliwych nagłówków?

A jakie to ma znaczenie, czy ten świat uznaje Lechonia za poetę współczesnego czy archaicznego? Te wiersze są wieczne, należą do zupełnie innego porządku. W ostatnich trzydziestu latach ten świat w ogóle utracił kontakt z rzeczywistością, zaczął domagać się anulowania kultury, więc jego opinia nic nie waży. Epitet „archaiczny” czy „anachroniczny” w odniesieniu do wierszy Lechonia pojawiał się zresztą już w połowie ubiegłego wieku. W paryskiej „Kulturze” szydzono, że jedynym terminem nowoczesnym w tej poezji jest wyraz „kaloryfer”, ale – cytuję – „poeta nie poniża się do rzucenia choćby jednego spojrzenia na ten aparat nieznan z czasów Andriollego, a tylko nocą słyszy w nim »cudny harfy dźwięk«, czytając: kapanie wody”. Dobrze znam tę retorykę z własnego doświadczenia. W szeregach awangardy nadal nie brakuje polemistów, którzy czerpią przyjemność z manifestowania własnej głupoty.

W książce umieściłeś jako aneks trzy swoje wiersze inspirowane postacią Lechonia. Czy czujesz się, jako poeta, spadkobiercą tego nurtu, który on reprezentował?

Idę podobną drogą, chociaż nie tworzę pod wpływem Lechonia. Mam własny głos, własne tajemnice i własne relacje z duchami. Ale na tym właśnie polega istota tego nurtu, który sięga epoki scholastyków. Tą istotą jest bezgraniczna wolność. Żadnych awangardowych przepisów na wiersz, żadnego szukania nowości. Wystarczą uszy do słuchania, pragnienie pomnażania piękna i czyste serce. Lechoń też miał to doświadczenie i poszukiwał jego teoretycznego opisu. Znalazł je w książkach księdza Henri Brémonda, ukazujących twórczość poetycką jako doświadczenie mistyczne.

Z twojej książki wyłania się postać tragiczna, rozdarta, pełna sprzeczności. Czy Jan Lechoń stał ci się bliski podczas pisania tej książki? Myślisz, że mógłbyś go polubić jako człowieka?

Nie będę ukrywał: już się zaprzyjaźniliśmy. Zbliżyło mnie do niego nie tylko wspólne rozumienie poezji. Przede wszystkim odkryłem, że jestem do niego bardzo podobny pod względem zalet i wad. Z jednej strony coś z Don Kichota, pożądanie piękna, czułość dla

przegranych, z drugiej – apodyktyczność, egoizm, poetycka pycha. *Rycerz i faun* – ten tytuł pasowałby także do mnie. Różnica jest taka, że mój faun jest oswojony, prząsny i pewny siebie, a jego druga natura była podsztyta chorobą nerwową, co w końcu doprowadziło go do samobójstwa. Dlatego mam dla niego tak wiele empatii. Natomiast pisanie tej książki było dla mnie trudnym doświadczeniem, bo cały czas musiałem się bronić przed zarażeniem melancholią i poczuciem bezsensu. Tak jakby demoniczne siły, z którymi poeta nie potrafił sobie poradzić, chciały wypaczyć jego obraz, a przy okazji wmieszać się w moje życie. Duchowo pomogła mi modlitwa, a psychologicznie pomógł mi mój osobisty faun, który nie lubi filozofować.

Tvoja poezja, podobnie jak twórczość Lechonia, zawsze była mocno zanurzona w tradycji, jednak w 2010 roku dokonało się w niej manifestacyjne wręcz zanurzenie w morze polszczyzny – właśnie „poza czasem”, tak jak chciał Rymkiewicz. Co wpłynęło na to wzmożone odczuwanie polskości w twoich wierszach?

Oczywiście tragedia smoleńska. To graniczne doświadczenie otworzyło przede mną polską historię, uświadomiło wysiłek pokoleń i głębię języka poetyckiego, w którym są zapisane stałe usposobienia Polaków: umiłowanie wolności, niezgoda na zniewolenie, wiara w wyższy porządek czy ta szczególna rzewność, o której piszę w książce o Lechoni w rozdziale *Ży Polaka*.

Specyficzne w twojej twórczości tomy *De profundis*, *Epigonia* i *Polonia aeterna* układają się w rodzaj trylogii. Czy masz dziś poczucie, że stanowi ona zamkniętą całość? Że to, co po tych wierszach nastąpi, musi być już inne?

Wyjątkiem może być jeden tom wierszy. Trzy tomy to jedna trzecia mojej twórczości – żaden epizod. Nie zakładam, że odtąd będę pisał inaczej. Myślę raczej o syntezie dawnych i nowych motywów. Widać to już w tomie *Polonia aeterna*, gdzie wiersze o polskiej historii przenikają się z lirykami osobistymi, „domowymi” i religijnymi.

Powiedziałeś w jednym z wywiadów, że „napisałeś już wszystko, co miałeś napisać”. Jednak po pewnym czasie powstały nowe wiersze, drukowałeś je w „Arcanach”. Czyżby coś wymagało dopowiedzenia? Czy to część jakiejś większej całości? W którą stronę ona zmierza?

Tą wypowiedzią sygnalizowałem, że jako poeta mam poczucie spełnienia. Patrzę na swój dorobek i widzę dzieło zamknięte, a nie otwarte. Przez trzydzieści lat zbudowałem pewien kosmos, który rządzi się swoimi prawami. Natomiast nigdy nie twierdziłem, że chcę przestać pełnić swoje powołanie. Nadal wsłuchuję się w głos duszy i staram się sprostać natchnieniu, choć mam poczucie, że mój umysł staje się coraz mniej użyteczny. Stąd kilka nowych wierszy, kilka innych na warsztacie, jeszcze inne w sferze pomysłów. Jeśli Bóg da mi trochę czasu, zapewne wydam kolejny tom. Na razie nie zastanawiam się nad wymową całości. Sam jestem ciekawy, co z tego wyniknie.

Rozmawiamy w czasie szczególnym. Wojna na Ukrainie, ale też wcześniejsze wydarzenia: pandemia, pożar Notre Dame, strajki kobiet – wszystko to wydaje się jakimś apokaliptycznym scenariuszem. Jak to wpływa na ciebie jako poetę?

Bardzo to wszystko przeżywam. Mniej więcej od dziesięciu lat mam poczucie, że świat się kończy, a na gruzach cywilizacji tańczy obleśna Lilith. Zburzone kościoły i pomniki, porzucone dziedzictwo, rozbite wspólnoty. Z uniwersytetów wyparto prawdę, z nauki logikę, z wychowania dyscyplinę, z codziennego życia miłość i odpowiedzialność, ze sztuki już nie tylko piękno

i metafizykę, ale nawet rzemieślniczą biegłość. Zanikło malarstwo, teatr przypomina pogańskie obrzędy. Nie ma już tabu i – co się z tym wiąże – poczucia wstydu. Tak zwane „prawa człowieka” sprowadzają się do realizacji coraz bardziej ekscentrycznych żądań. Na ulicach wulgarne wycie i infantylne pantomimy, w mediach afektywne komentarze, w internecie walka na monosylaby. Przywódcy państw bredzą o kryzysie klimatycznym, szamani piorą mózgi dzieciom, pchając je w stronę homoseksualizmu lub operacji „zmiany płci”, szamanki całkiem poważnie twierdzą, że w nieodległej przyszłości nikt nie będzie jadł mięsa. Wszystko to wydaje mi się nierzeczywiste.

Ale nie próbujesz z tym dyskutować wierszami?

Gdybym emocjonalnie reagował na to jako poeta, zbrukałbym świętość słowa. Odpowiedzią na chaos może być tylko harmonia. Dlatego marzy mi się poemat w formie podobny do *Imago mundi*, opisujący śpiew w ciemności. Prowadzący przez wieki cywilizacji europejskiej – od Orfeusza do powtórnego przyjścia Chrystusa. Im głębiej wchodzę w klasyczną kulturę, tym bardziej zadziwia mnie jej subtelność. Jak wyrafinowane są mity greckie, muzyka Monteverdiego, malarstwo włoskiego Quattrocenta, *Boska komedia*! Jak wspaniała jest ciągłość kluczowych dla ludzkości motywów i form! W przedświeceniowej kulturze zawarte są odpowiedzi na wszystkie nasze pytania i tęsknoty. To piękno, które zbawia. Żeby jednak napisać taki poemat, trzeba stale czerpać z łaski Bożej. Własnymi siłami można tylko zepsuć temat: przesadzić z ilością nawiązań, cytatów, popaść w moralizmy. To musi być dzieło natchnione, muzyczne, lekkie, jednocześnie zakorzenione w tradycji i oryginalne. Wiem, jak zacząć, ale czekam na pomoc Ducha Świętego. Przyjdzie albo nie przyjdzie. Nic na siłę.

Tymczasem zapowiadasz trzecią z poetyckich biografii, poświęconą Stanisławowi Balińskiemu. Z trójki autorów, którymi się zajmujesz, to poeta najmniej znany, przez wiele lat pozostający twórcą niemal zapomnianym. Czy jest on artystą tej samej klasy, co twoi dwaj poprzedni bohaterowie?

Niewątpliwie Baliński jest trzecim najważniejszym poetą emigracji niepodległościowej. Gdy spojrzeć całościowo, jego dorobek może nie dorównuje twórczości Lechonia i Wierzyńskiego, jednak jest kilka jego wierszy, które należą do arcydzieł poezji polskiej: *Kołąda warszawska* 1939, *Pożegnanie Krzemieńca* 1939, *Ojczyzna Szopena*, *Smutny młodzienc...* To niezrównany liryk, romantyk, wyraziciel polskiej duszy. Choć dopiero teraz wchodzi do kanonu szkolnego, ma wielu wyznawców, którzy znają jego wiersze na pamięć. Piosenki z jego słowami śpiewa mój przyjaciel, Leszek Długosz.

Jakich fascynujących historii możemy się spodziewać po tej książce?

Chciałbym oprzeć ją na motywie losów polskiego ziemiaństwa, pokazać tragedię wschodnich Kresów, nawiązać do zagłady elit. Bardzo ciekawe są też fakty z biografii poety, który urodził się w Warszawie, ale na swoją duchową ojczyznę wybrał Nowogród-czyznę, gdzie jego krewni mieli majątek Sienieżyce. W młodości przyjaźnił się z Witoldem Gombrowiczem, którego nieświadomie wpędzał w kompleksy. Później jako dyplomata sporo podróżował po świecie, pisał opowieści grozy, po wybuchu wojny trafił do Paryża, a potem do Londynu, gdzie wydał wspaniały tom wierszy *Wielka podróż*. Ta biografia będzie ostatnią częścią trylogii o poetach emigracyjnych. Bo w zamyśle są to kolejne tomy tej samej opowieści. Dlatego zainteresowanym czytelnikom radziłbym zacząć lekturę od książki *Wierzyński. Sens ponad klęską*, gdzie starałem się dokładnie przedstawić chwałę i dramat Polski walczącej. Tam jest klucz do całości. ☉